

**Matce mojej Rozalii Thun
zamordowanej w Obozie Janowskim
i jej rodzinie zamieszkałej we Lwowie
przy placu Strzeleckim 12
– nikt z nich nie przeżył wojny
~poświęcam~**

Obudził się z krzykiem – było jeszcze ciemno. Nacisnął przycisk ręcznego zegarka leżącego na nocnym stoliku – tarcza rozświetliła się na zielono – piętnaście po piątej. Który dziś dzień – pomyślał? Datownik pokazywał SAT 8. Aha – sobota, ósmy września 2001 roku. Jeszcze nie wiedział, że to będzie jeden z najdłuższych dni w jego życiu.

Z trudem usiłował sobie przypomnieć wczorajszy dzień. W piątkowy wieczór Towarzystwo Żydowskiej Kultury – koło terenowe w Truskawcu zaprosiło ich, trójkę Żydów z Polski na tradycyjny „szabes”. Tak dużo chciał powiedzieć tym miłym, dobrym ludziom i znów mu się nie udało. Wstał, wyszedł na środek sali i głos uwiązał mu w gardle. Uciekł w ką, usiadł na krześle, ukrył twarz w dłoniach, by nie widzieli jego łez i to był już koniec.

Jak zwykle sytuację uratowała niezawodna Misia. Mówiła spokojnym, równym głosem o tym, kim jest i czym się zajmuje. Powiedziała, że jego matka zginęła tu, niedaleko w obozie Janowskim we Lwowie, razem z 200 tysiącami Żydów, których tam zamęczono, że matka ojca Salomea Robinsohn, co szyła męskie koszule w Samborze, popełniła samobójstwo zażywając truciznę w Parku Stryjskim we Lwowie. A może ktoś z rodziny się ukrył i przeżył aż do kwietnia 1943 roku, gdy w trzeciej akcji na żydowskim cmentarzu likwidowano niemowlęta, rzucając je o mur, co do dziś stoi i zabijano strzałami a potem ośmiuset Żydów rozstrzelano w lesie radłowskim zaraz za Samborem. A może zginęli dopiero w czwartej akcji w czerwcu 1943, gdy w nocy Niemcy obstawili getto i podczas czterech długich dni zlikwidowali ostatnie kilkaset osób. Może, może, może....

Teraz siedział na krześle z twarzą w dłoniach a Misia mówiła za niego. Widział łzy na twarzach kobiet i mężczyzn. Kurka, pomyślał, po cholere tu przyjechaliśmy, ładny zrobiliśmy im szabat – biedni Żydzi. Resztką sił podniósł się z krzesła, wyjął gitarę z futerału, popłynęły pieśni: Szabat Szalom, Evenu Szalom Alechem, Bubliczki, Miasteczko Bełz. Bełz, Sambor, Drohobycz, Borysław, Lwów – czy to nie wszystko jedno? Wszędzie tam wykończyli naszych, ale my się nie damy. „Nada zapić i zabyć” jak mawiają Ruscy, ale niestety nie mówią ile trzeba wypić, żeby zapomnieć. Chyba nikt tego nie wie.

Dzisiaj sobota. Trzeba jechać rano do Lwowa na otwarcie festiwalu książki żydowskiej. Jechali

po „harmoszkie”, jak miejscowi nazywają tutejsze drogi pełne dziur i wybojów. Mały Hyunday, który świetnie radził sobie z drobnymi nierównościami, podskakiwał jak piłka. Dojechali do centrum Lwowa, weszli do Starej Prochowni przy Podwalu, gdzie była wystawa. Narastał niepokój, lęk przed czymś nieokreślonym, wiedział, że coś się stanie, nie wiedział tylko, kiedy i gdzie. Wszystko wróciło, Lwów, Sambor, getto, obóz na ulicy Janowskiej. Musiał wyjść z budynku natychmiast, zaraz, był po zawale, z trudem chwycił powietrze. Usiadł na murku i zaczął się rozglądać. Przypomniawszy sobie, co mu mówili, przecież dwa kroki stąd powinien być plac Strzelecki, gdzie pod 12 tką mieszkała przed wojną matka, jej siostra bliźniaczka i brat.

Nie wiedział, co go pchnęło w tamtą stronę - nogi same niosły na prawo a potem w dół. Szedł ze spuszczoneym łbem nie myśląc i nie patrząc przed siebie, aż coś mu kazało stanąć i podnieść wzrok. Zobaczył numer 12 na bramie dwupiętrowego domu. Bulwar Halickiego – pisało, – ale on już wiedział, że to tutaj, że to ten dom.

Wszedł krętymi, drewnianymi schodami na pierwsze piętro, zadzwonił do pierwszych drzwi. Usłyszał przestraszone głosy, „kto wy, otkuda”? Ja z Polski, proszę otworzyć. Wizjer się zamknął i uchyliły się drzwi. Młoda kobieta przeproszała, wie pan my Polacy, same kobiety w domu, boimy się Ukraińców. Wtedy jeszcze nie wiedział, że ich dziadka, gdy w 1944 poszedł do Bursztyna po pomoc, Ukraińcy zamordowali w bestialski sposób a teraz spokojnie patrzą, jak samotne trzy kobiety: babcia, matka i córka powoli zdychają z głodu i zimna w przedwojennym mieszkaniu. „Jedźcie do swojej Polski – mówią - was tu nie trzeba”. Taki los.

Spytał - czy nie znają kogoś, kto tutaj mieszkał przed wojną. Ależ tak – odpowiedziała wnuczka. Z pokoju wyszła babcia – rocznik 1925. A kto to? – spytała. Nazywam się Bander, tu mieszkała moja matka zanim ją zabili Niemcy na Janowskiej.

Stara kobieta patrzyła i patrzyła – ojciec był wyższy –powiedziała, ale jest pan podobny. Potem łzy jak grochy popłynęły po jej pomarszczonej twarzy. „Panie, pan nie wie, co tu się działo”, skąd niby miał wiedzieć? Usiedli przy stole pod oknem i zaczęło się. Jeszcze nie przypuszczał, że wyjdzie stąd po dobrych dwóch godzinach pochylony, jakby mu przybyło kilkanaście lat. Z całej rodziny okupację przeżyli tylko on i jego ojciec, który do końca życia nie chciał mu niczego powiedzieć. Teraz białe plamy historii jego rodziny wypełniły się kolorami. Niestety przeważał kolor czerwony; krew, morze krwi. Nikt nie ocalał. Trząsł się i płakał – prawda była straszna. W skołatanej głowie tłukły się słowa piosenki: „Lwów, kochany Lwów – jedno słowo a tyle ma treści”. Oj ma. Powoli wracał do rzeczywistości. Szedł w dół w stronę Rynku i Ratusza. Jak na zepsutej fotografii wszystko miało kolor czerwony, kolor krwi – niebo, domy, drzewa. Widział dzieci żebrzące na ulicy. Starzy ludzie mówili mu „Panie, gdyby przed wojną dziecko wyszło żebrac na ulicę to prasa by o tym pisała, a teraz?” Widział krzywe chodniki, odpadające tynki,

Lwów

Wpisany przez Jerzy Bander

Środa, 04 Listopad 2009 07:51 - Zmieniony Środa, 04 Listopad 2009 07:54

niemalowane od dziesiątków lat ramy okien. Czuł smród toalet. Tylko drzewa pozostały piękne, szumiące. Liście olbrzymich kasztanów żółkły i opadały. To już jesień – pomyślał. Wiedział, że odtąd zawsze będzie tu przyjeżdżał. I tak wrócił do Lwowa, do „swojego” Lwowa.